

Twórca bestsellerowych thrillerów:
Oficera i szpiega, Trylogii rzymskiej, Konklawe

ROBERT HARRIS

Vaterland



Żywy i autentycznie przerażający
„The Atlanta Journal”

1

Wiszące przez całą noc nisko nad Berlinem chmury bynajmniej nie ustąpiły z nadejściem poranka. Nad powierzchnią Haveli unosiły się przypominające dym krople deszczu.

Niebo i woda zlały się w jedną szarą płachtę; jej jedynym urozmaicheniem była ciemna linia przeciwległego brzegu. Nic się tam nie poruszało. Nie widać było ani jednego światła.

Xavier March, inspektor wydziału zabójstw berlińskiej Kriminalpolizei – w skrócie Kripo – wysiadł ze swego volkswagena i obrócił się twarzą w stronę padających kropli. Był koneserem tego szczególnego rodzaju deszczu. Znał jego smak i zapach. To był bałtycki deszcz, deszcz z północy, zimny, pachnący morzem i cierpki od soli. Na krótki moment cofnął się myślami o dwadzieścia lat – wydawało mu się, że znowu stoi w mroku na wieży U-Boota wymykającego się ze zgaszonymi światłami z Wilhelmshaven.

Spojrzał na zegarek. Minęła dopiero siódma.

Na poboczu drogi stały przed nim trzy inne samochody. Kierowcy dwóch pierwszych drzemali w swoich fotelach. Trzeci należał do Ordnungspolizei – Orpo, jak nazywał ją każdy Niemiec. W środku nie było nikogo. Przez otwarte okno dobiegał głośny

szum radia, przerywany co jakiś czas potokiem słów. Obracające się światło na dachu rzucało refleksy na rosnący przy drodze las: niebieski, czarny, niebieski, czarny, niebieski, czarny.

March rozejrzał się za gliniarzami z Orpo i zobaczył, że kryją się przed deszczem pod stojącą przy brzegu jeziora brzozą. U ich stóp majaczyło coś bladego. Na leżącej nieopodal kłodzie siedział młody człowiek w czarnym dresie, z wyszytymi na piersi insygniami SS. Pochylony do przodu, opierał łokcie o kolana i krył twarz w dłoniach – uosobienie nędzy i rozpacz.

Inspektor zaciągnął się po raz ostatni papierosem i odrzucił go na bok. Niedopałek zasyczał i zgaśł na mokrej drodze.

Kiedy March się zbliżył, jeden z policjantów uniósł wyprostowaną rękę.

– Heil Hitler!

March zignorował pozdrowienie i ślizgając się po błocie, podszedł do brzegu, żeby przyjrzeć się ciału.

Były to zwłoki starego tęgiego człowieka – zimne, pozbawione włosów i szokująco białe. Z daleka przypominały na pół zatopiony alabastrowy posąg. Usmarowane błotem i zanurzone częściowo w wodzie, leżały na plecach z rozrzuconymi szeroko ramionami i odchyłoną do tyłu głową. Jedno oko było zamknięte, drugie zezowało ze smutkiem w stronę zaciągniętego chmurami nieba.

– Wasze nazwisko, Unterwachtmeister? – zapytał cichym głosem March, nie odrywając oczu od ciała.

– Ratka, Herr Sturmbannführer.

Obowiązująca w SS ranga Sturmbannführera odpowiadała z grubsza stopniowi majora Wehrmachtu. Ratka, mimo że był zmęczony jak pies i zmoczony do suchej nitki, odnosił się do niego z wielkim szacunkiem. March nie musiał na niego patrzeć, żeby wiedzieć, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia: trzy podania o przeniesienie do Kripo, wszystkie odrzucone; obo-

wiązkowa żona, która urodziła Führerowi futbolową drużynę bachorów; dochód w wysokości dwustu marek miesięcznie. Życie, którego jedynym motorem była nadzieja.

– Bardzo dobrze, Ratka – odezwał się ponownie cichym głosem. – O której godzinie go odkryto?

– Mniej więcej godzinę temu, Herr Sturmbannführer. Kończyła się właśnie nasza zmiana, patrolowaliśmy Nikolassee. Odebraliśmy telefon, absolutne pierwszeństwo. Byliśmy tutaj w ciągu pięciu minut.

– Kto go znalazł?

Unterwachtmeister wskazał kciukiem za siebie.

Młody człowiek w dresie podniósł się z kłody. Nie mógł mieć wiele więcej niż osiemnaście lat. Był ostrzyżony tak krótko, że przez jasnobrązowe włosy prześwitywała różowa skóra czaszki. March zauważył, że chłopak stara się nie patrzeć na ciało.

– Wasze nazwisko?

– SS-Schütze Hermann Jost, Herr Sturmbannführer. – Mówił z akcentem saksońskim; z jego głosu przebijało zdenerwowanie, niepewność, chęć sprawienia dobrego wrażenia. – Z Akademii imienia Seppa Dietricha przy Schlachtensee. – Inspektor znał dobrze ten ośrodek: bezduszne betonowe gmachy wzniesione w latach pięćdziesiątych na południe od Haweli. – Rano prawie zawsze tutaj biegam. Było jeszcze ciemno. Z początku myślałem, że to łabędź – dodał bezradnie.

Ratka prychnął z pogardą. Kadet SS wystraszył się jednego starego trupa. Nic dziwnego, że tak długo ciągnie się wojna na Uralu.

– Czy widziałeś jeszcze kogoś, Jost? – March przemawiał łagodnym tonem niczym dobry wujek.

– Nikogo, Herr Sturmbannführer. Przy obozowisku, pół kilometra stąd, jest budka telefoniczna. Zadzwoniłem stamtąd, a potem wróciłem i czekałem aż do przyjazdu policji. Na drodze nie

było żywej duszy.

March ponownie rzucił okiem na topielca. Był bardzo gruby. Sto dziesięć kilo, może więcej.

– Wyciągnijcie go z wody – polecił, ruszając w stronę drogi. – Czas obudzić nasze śpiące królowny.

Przestępujący z nogi na nogę Ratka wykrzywił twarz w uśmiechu.

Deszcz wzmógł się i prawie nie było widać leżącego po drugiej stronie jeziora osiedla Kładow. Krople bębniły o liście drzew i dachy samochodów. W powietrzu unosił się ciężki, przesycony deszczem zapach rozkładu – woń urodzajnej ziemi i gnijącej roślinności. Włosy przylepiły się Xavierowi do głowy, za kołnierz spływała mu zimna woda. Wcale tego nie zauważał. Dla niego każda sprawa, choćby najbardziej zwyczajna, mogła stać się początkiem czegoś wielkiego.

Miał czterdzieści dwa lata – był szczupłym mężczyzną, z szarą czupryną i chłodnymi szarymi oczami, nieróżniącymi się kolorem od zachmurzonego nieba. Podczas wojny Ministerstwo Propagandy wymyśliło dla marynarzy z U-Bootów stosowne przezwisko – „szare wilki” – i w pewnym sensie pasowało ono do Marcha, ponieważ był nieustępliwym detektywem. Ale poza tym wcale nie przypominał wilka – nie lubił chodzić razem ze stadem i polegał bardziej na inteligencji niż na sile mięśni. Dlatego koledzy nazywali go „lisem”.

Wymarzona pogoda dla U-Bootów.

Otworzył na oścież drzwi białej skody i w twarz uderzył go podmuch ciepłego, stęchłego powietrza.

– Dzień dobry, Spiedel! – przywitał się, potrząsając kościstym ramieniem policyjnego fotografa. – Czas na prysznic. – Spiedel obudził się i zmierzył Marcha ponurym spojrzeniem.

Kiedy ten zbliżył się do drugiej skody, okno od strony kierowcy było już otwarte.

– W porządku, March. W porządku. – W piskliwym głosie

sądowego lekarza Kripo, SS-Arztę Augusta Eislera, pobrzmiwała urażona godność. – Zachowaj swój koszarowy humor dla tych, którzy potrafią go docenić.



Podeszli na skraj wody, wszyscy oprócz doktora Eislera stojącego z boku pod staroświeckim czarnym parasolem, którego nie chciał nikomu użyczyć. Spiedel zamontował flesz na aparacie i oparł ostrożnie prawą nogę o grude gliny.

– Cholera! – zaklął, kiedy woda zalała mu but.

Błysnęła lampa, utrwalając na chwilę całą scenę: białe twarze, srebrne nitki deszczu, ciemny las. Z pobliskich trzcin przyleciała zaciekawiona łabędzica i zaczęła zataczać kręgi kilka metrów od nich.

– Broni swojego gniazda – stwierdził młody esesman.

– Chcę mieć jeszcze jedno zdjęcie stąd. – March pokazał ręką. – I jedno stamtąd.

Fotograf zaklął ponownie i wyciągnął ociekającą nogę z błota. Flesz błysnął jeszcze dwukrotnie.

Inspektor pochylił się i złapał ciało pod pachy. Było śliskie i twarde niczym chłodna guma.

– Pomóżcie mi.

Policjanci z Orpo złapali topielca każdy za jedno ramię. Stękając z wysiłku, dźwignęli go wszyscy razem i wyciągnęli z wody, a potem powlekli z błotnistej brzegu na wilgotną trawę. Wyprostowując się, March dostrzegł, że Jost bacznie mu się przypatruje.

Stary mężczyzna miał na sobie błękitne kąpielówki, które zsunęły się aż do kolan. W lodowatej wodzie genitalia skurczyły się i przypominały złożone w czarnym gnieździe białe ptasie jaja.

Trup nie miał lewej stopy.

Spodziewałem się tego, pomyślał Xavier. W taki dzień nic nie mogło być zwyczajne. Może rzeczywiście czekała go jakaś wielka sprawa.

– Pańska opinia, doktorze?

Eisler sapnął poirytowany, dał ostrożnie krok do przodu i zdjął z jednej ręki rękawiczkę. Stopa ucięta była przy podstawie łydki. Wciąż trzymając nad sobą parasol, lekarz pochylił się sztywno i przesunął palcami po kikucie.

– Śruba okrętowa? – zapytał March. Widział ciała wyciągane z miejsc, któredy wiodły ruchliwe szlaki wodne: z Tegler See i Szprewy w Berlinie, a także z Alsteru w Hamburgu. Wyglądały, jakby znęcał się nad nimi rzeźnik.

– Nie – odparł Eisler, cofając rękę. – Stara amputacja. Nawiasem mówiąc, dość fachowo przeprowadzona. – Oparł pięść o pierś topielca i mocno nacisnął. Z ust i nozdrzy pociekła błotnista woda. – Zaawansowane stężenie pośmiertne. Nie żyje od jakichś dwunastu godzin. Może trochę krócej – dodał, zakładając z powrotem rękawiczkę.

Zza drzew dobiegł ich warkot diesla.

– Ambulans – stwierdził Ratka. – Zbyttno się nie śpieszą.

March dał znak Spiedlowi.

– Zrób jeszcze jedno zdjęcie.

Przyglądając się zwłokom, zapalił papierosa. A potem przysiadł na piętach i spojrzał w otwarte oko. Trwało to dłuższą chwilę. Ponownie błysnął flesz. Łabędzica poderwała się w górę i trzepocząc skrzydłami, pofrunęła w poszukiwaniu pożywienia na środek jeziora.

2

Komenda Kripo znajdowała się na drugim końcu Berlina, dwadzieścia pięć minut drogi od Haweli. Chcąc przesłuchać Josta, March zaoferował, że podrzuci go najpierw do koszar, żeby mógł się przebrać, ale chłopak nie skorzystał z uprzejmości; chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. Poczekali więc tylko, aż ciało zostanie załadowane do ambulansu i zabrane do kostnicy, po czym wsiedli do małego czterodrzwiowego volkswagena inspektora i ruszyli na wschód przez zatłoczone miasto.

Wstawał jeden z owych ponurych berlińskich poranków, kiedy słynne tutejsze powietrze nie tyle orzeźwia, co ziębi, kłując twarz i dłonie tysiącem lodowatych igieł. Na Potsdamer Chaussee woda tryskająca spod kół przejeżdżających samochodów przegoniła przechodniów pod ściany budynków. Obserwując ich przez zalaną deszczem szybę, March miał wrażenie, że znalazł się w mieście podążających po omacku do pracy ślepców.

Wszystko wydawało się takie normalne. Później to właśnie uderzało go najbardziej. Podobnie jak podczas wypadku na szosie: najpierw wszystko jest w porządku, a potem następuje ta chwila i świat nigdy już nie wraca do swej poprzedniej postaci. Bo przecież nie było nic nadzwyczajnego w fakcie, że wyłowiono czyjeś ciało z Haweli. Zdarzało się to dwa razy w miesiącu – odnajdywano

w wodzie pijaków i zbankrutowanych przedsiębiorców, nieostrożne dzieci i zawiedzionych w miłości nastolatków; ofiary nieszczęśliwych wypadków, samobójstw i morderstw; ludzi zdesperowanych, głupich i nieszczęśliwych.

Telefon w jego mieszkaniu przy Ansbacher Strasse zadzwonił piętnaście po szóstej. Nie obudził go. Od dłuższego czasu leżał w półmroku z szeroko otwartymi oczami, słuchając deszczu. Od kilku miesięcy źle spał.

– March? Z Haweli wyłowiono topielca. – To był Krause, nocny oficer dyżurny. – Bądź tak dobry i zajmij się tym.

March odparł, że nie jest zainteresowany topielcem.

– Twoje zainteresowanie albo jego brak nie ma tutaj najmniejszego znaczenia.

– Nie interesuje mnie topielec – powtórzył March – bo nie jestem na służbie. Miałem dyżur w zeszłym tygodniu i jeszcze tydzień temu. – A także dwa tygodnie temu, mógł dodać. – Dzisiaj mam wolny dzień. Zerknij ponownie do swojej listy.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Masz szczęście, March – odezwał się w końcu pojednawczo Krause. – Patrzyłem na dyżury z zeszłego tygodnia. Możesz spać dalej. Albo – zachichotał – robić to, co ci przerwałem.

Podmuch wiatru zabębnił deszczem o okienną ramę.

Procedura w wypadku odnalezienia ciała była z góry ustalona: na miejsce natychmiast udawali się lekarz, policyjny fotograf i inspektor. Inspektorzy wysyłani byli na podstawie listy dyżurów układanej w komendzie Kripo przy Werderscher Markt.

– Kto ma dzisiaj dyżur, jeśli wolno spytać?

– Max Jäger.

Jäger. March dzielił z nim gabinet. Spojrzał na swój budzik i pomyślał o małym domku w Pankow, gdzie Max mieszkał z żoną i czterema córkami; w tygodniu widywał się z rodziną tylko przy śniadaniu. March tymczasem był rozwiedziony i żył samotnie.

Popołudnie miał spędzić z synem. Ale najpierw musiał wypełnić czymś długie puste godziny poranka. Czuł się tak paskudnie, że perspektywa rutynowej sprawy wydała mu się zachęcająca. Przyjmijmy, że coś się zajmie.

– Och, daj mu spokój – powiedział. – I tak już nie śpię. Pojadę tam.

To było prawie dwie godziny temu. Zerknął w lusterko na swego pasażera. Jost nie odezwał się ani razu, odkąd wsiadł do samochodu. Siedział sztywno na tylnym siedzeniu, wpatrując się w szare mijane przez nich budynki.

Przy Bramie Brandenburskiej policjant na motocyklu dał im sygnał, żeby się zatrzymali.

Środkiem Pariser Platz maszerowała, rozchlapując kałuże, orkiestra SA w zmoczonych brązowych mundurach. Przez zamknięte szyby volkswagena dobiegał stłumiony odgłos bębnow i trąbek, wygrywających stary partyjny marsz. Kilkadziesiąt osób stojących przed Akademią Sztuk Pięknych przypatrywało się paradzie, kuląc ramiona przed deszczem.

O tej porze roku nie sposób było przejechać przez Berlin, nie natknąwszy się na jakąś orkiestrę. Za sześć dni całe Niemcy będą obchodzić urodziny Adolfa Hitlera: obwołany państwowym świętem Führertag. Ulicami przedelfują wszystkie orkiestry Rzeszy. Wycieraczki samochodu odmierzały rytm niczym metronom.

– Oto ostateczny dowód – mruknął March, obserwując tłumek – że marszowa muzyka odbiera Niemcom rozum.

Obrócił się do kadeta, który niewyraźnie się uśmiechnął.

Występ zakończył brzęk cymbałów. Rozległy się słabe oklaski. Dyrygent odwrócił się i uklonił. Za jego plecami esamani wycofywali się już, to idąc, to biegnąc, do czekającego autokaru. Gliniarz na motocyklu odczekał, aż plac opustoszeje, a potem gwizdnął krótko i machnął odzianą w białą rękawiczkę dłońią, przepuszczając ich przez Bramę.

Przed nimi ciągnęła się Unter den Linden. Aleja straciła swoje lipy w roku 1936 – wycięto je w akcie oficjalnego wandalizmu przed Igrzyskami Olimpijskimi w Berlinie. Na ich miejscu Gauleiter miasta, Josef Goebbels, wzniosł po obu stronach bulwaru dwa długie rzędy dziesięciometrowych kolumn, na szczycie których sterczały partyjne orły z rozpostartymi skrzydłami. Z dziobów i piór kapą im woda. Jazda przez Unter den Linden przypominała wędrówkę przez indiański cmentarz.

March zwolnił przed światłami i skręcił w prawo, we Friedrichstrasse. Dwie minuty później wjeżdżali na parking położony na przeciwko komendy Kripo przy Werderscher Markt.

Zamykające plac od południa sześciopiętrowe wilhelmińskie gmazysko było brzydkie, ciężkie i pokryte smugami sadzy. Od dziesięciu lat prawie przez siedem dni w tygodniu March przychodził tutaj codziennie do pracy. Jak skarżyła się często jego była żona, czuł się tu bardziej u siebie niż we własnym domu. W środku, za posterunkiem SS i skrzypiącymi obrotowymi drzwiami, wisiała na ścianie tablica, na której zaznaczano obowiązujący aktualnie stopień alertu antyterrorystycznego. Stopni było cztery, każdy groźniejszy od poprzedniego: zielony, niebieski, czarny i czerwony. Tego dnia, jak zwykle, zaznaczony był alarm czerwony.

Zaraz przy wejściu do holu przyjrzało im się dokładnie dwóch strażników w szklanej budce. Inspektor pokazał swoją legitymację i podpisał przepustkę dla Josta.

W komendzie panował ruch większy niż zazwyczaj. Przed Führertagiem zawsze było trzy razy więcej roboty. Wyłożony marmurowymi płytami hol przemierzały, głośno stukając wysokimi obcasami, objuczone aktami sekretarki. W powietrzu unosił się intensywny zapach wilgotnej odzieży i pasty do podłóg. Pod ścianami stały, wymieniając szeptem uwagi na temat różnych przestępstw, grupki funkcjonariuszy: ci w zielonych mundurach należeli do Orpo, ci w czarnych do Kripo. Nad ich głowami wpatrywały

się w siebie kamiennym wzrokiem umieszczone po przeciwnych stronach holu, obwieszone girlandami dwa popiersia: Führera oraz Szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Reinharda Heydricha.

March odciągnął metalową kratę i wszedł razem z kadetem do windy.

Siły policyjne, które kontrolował Heydrich, podzielone były na trzy części. Na samym dole znajdowało się Orpo, normalni gliniarze. Zgarniali z parków pijaczków, patrolowali autostrady, linie kolejowe i lotniska, nakładali mandaty za przekroczenie szybkości, dokonywali aresztowań, gasili pożary, odpowiadali na telefony zaniepokojonej ludności i wyławiali z wody topielców.

Na samej górze było Sipo, służba bezpieczeństwa. W skład Sipo wchodziło zarówno Gestapo, jak i wewnętrzna policja partyjna, SD. Siedziba obu instytucji znajdowała się w ponurym kompleksie gmachów przy Prinz-Albrecht-Strasse, kilometr na południowy zachód od Werderscher Markt. Sipo zajmowało się terroryzmem, działalnością wywrotową, kontrwywiadem i „zbrodniami przeciwko państwu”. Miało własne wtyczki w każdej fabryce, szkole, szpitalu i kantynie; w każdym miasteczku, w każdej wsi i na każdej ulicy. Ciało odnalezione w jeziorze mogło zainteresować Sipo, wyłącznie jeśli należało do terrorysty lub zdrajcy.

Gdzieś między tymi dwoma instytucjami, zahaczając o nie obydwie, lokowało się Kripo – Departament V Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Policja kryminalna zajmowała się pospolitą przestępczością – poczynając od włamań i napadów na bank, aż po gwałty, mieszane małżeństwa i morderstwa. Topielec wyłowiony z jeziora – ustalenie jego tożsamości i sposobu, w jaki się tam znalazł – to była właśnie sprawa dla Kripo.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Wyszli na korytarz, którego oświetlenie przypominało akwarium. Zielone linoleum i pomalowane na ten sam kolor ściany lśniły w słabym świetle

jarzeniówek. W powietrzu unosił się ten sam co w holu zapach pasty do podłóg, tyle że tutaj wzbogacony był dobiegającą z ubikacji wonią środków dezynfekcyjnych i starym papierosowym dymem. Za drzwiami z matowego szkła mieściło się dwadzieścia klitek, w których pracowali inspektorzy. Niektóre były uchylone. Ktoś stukał jednym palcem w maszynę, gdzie indziej dzwonił nieodbierany telefon.

– Oto centralny ośrodek nerwowy prowadzonej dzień i noc batalii z przeciwnikami Narodowego Socjalizmu – stwierdził March, cytując tytuł partyjnej gazety, „Völkischer Beobachter”. – Żartowałem – dodał, widząc, że Jost nadal gapi się przed siebie pustym wzrokiem.

– Słucham?

– Nieważne.

Pchnął drzwi i zapalił światło. Jego gabinet był niewiele większy od służbówki; miała cela z pojedynczym oknem wychodzącym na podwórko z pocerniałej cegły. Jedna ściana zabudowana była półkami; stały na nich rozsypujące się, oprawne w skórę zbiory ustaw i dekretów, a także podręcznik kryminologii, słownik, atlas, spis berlińskich ulic, książki telefoniczne oraz skoroszyty, na grzbietach których widniały nalepki z nazwiskami – „Braune”, „Hundt”, „Stark”, „Zadek” – biurokratyczne kamienie milowe, które uwieczniały przy okazji tożsamość dawno zapomnianych ofiar. Przy drugiej ścianie ustawiono cztery szafki. Na jednej z nich stał storczyk, umieszczony tam przed dwoma laty przez niemłodą już sekretarkę u szczytu jej niewyznanego nigdy i nieodwzajemnionego uczucia do Xaviera Marcha. Storczyk był od dawna martwy. Na tym kończyło się całe umeblowanie, jeśli nie liczyć dwóch zsuniętych przy samym oknie biurerek. Jedno z nich należało do Marcha, drugie do Maxa Jägera.

Inspektor powiesił płaszcz na wieszaku obok drzwi. Unikał, jak mógł, noszenia munduru. Tego ranka wykorzystał ulewę

jako pretekst, żeby włożyć szare spodnie i gruby niebieski sweter. Pchnął w stronę chłopaka krzesło Jägera.

– Siadaj. Kawy?

– Poproszę.

Automat stał na korytarzu. Z wydziału VB3, zajmującego się przestępstwami seksualnymi, dobiegał głos przechwalającego się swoim najnowszym sukcesem Sturmbannführera Fiebesa.

– Mamy tutaj fotografie. Potrafisz w to uwierzyć? Popatrz tylko na to. Zrobiła to jej pokojówka. Spójrz, widać tutaj każdy włos. Ta dziewczyna powinna zostać zawodowym fotografem.

Co to za sprawa? March rąbnął w bok automat, który wyrzucił z siebie plastikowy kubek. Pewnie jakaś żona oficera i Polak przysłany z Generalnej Guberni do pracy w ogrodzie. Najczęściej był to właśnie Polak, marzycielski, sentymentalny Polak uwodzący panią domu, której mąż walczył na froncie. Z tego, co słyszał, sfotografowani zostali *in flagranti* przez zazdrosną pokojówkę. Dziewczyna należąca do Bund Deutscher Mädel chciała się koniecznie przypodobać władzom. Zgodnie z uchwaloną w roku 1935 Ustawą o Czystości Rasy oboje popełnili przestępstwo seksualne.

Xavier walnął ponownie automat.

Odbędzie się prawdopodobnie posiedzenie Sądu Ludowego, które następnie zrelacjonuje ze wszystkimi sprośnymi szczegółami „Der Stürmer”. Wyrok niech stanie się ostrzeżeniem dla innych. Dwa lata w Ravensbrück dla żony. Degradacja męża. Dwadzieścia pięć lat dla Polaka, jeśli będzie miał szczęście; jeśli nie, kara śmierci.

– Kurwa!

Drugi męski głos mruknął coś i oblesny, zbliżający się do sześćdziesiątki Fiebes wybuchnął gromkim śmiechem. Jego własna żona uciekła przed dziesięciu laty z instruktorem narciarskim SS. March, trzymając w obu rękach kubki z czarną kawą, wycofał się do swojej klatki i jak mógł najgłośniejsze, zatrzęsła nogą drzwi.

ZEZNANIE ŚWIADKA

Nazywam się Hermann Friedrich Jost. Urodziłem się 23.02.45 w Dreźnie. Jestem kadetem Akademii imienia Seppa Dietricha w Berlinie. Dzisiaj rano o godzinie 5.30 opuściłem koszary, żeby jak co dzień trenować bieganie. Wolę biegać sam. Moja trasa wiedzie na ogół na zachód przez las Grunewald aż do Haweli, a stamtąd brzegiem jeziora na północ do restauracji Lindwerder i z powrotem na południe do koszar przy Schlachtensee. W odległości trzystu metrów od grobli Schwanenwerder zobaczyłem przy samym brzegu zanurzony w jeziorze obiekt. Stwierdziwszy, że jest to ciało mężczyzny, pobiegłem prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora ścieżką do znajdującego się w odległości pół kilometra telefonu i zawiadomiłem policję. Następnie wróciłem do zwłok i czekałem na przyjazd funkcjonariuszy. Przez cały czas padał ulewny deszcz i nikogo nie widziałem.

Składałem to oświadczenie z własnej nieprzymuszonej woli w obecności inspektora Kripo Xaviera Marcha.

SS-Schütze H.F. Jost

8.24/14.04.64

March odchylił się na krześle i obserwował podpisującego zeznanie chłopaka. Miał miękkie rysy, różową jak niemowlę twarz, kilka krost wokół ust i ledwo widoczny jasny meszek na górnej wardze. Zdaniem Marcha, nie zaczął się jeszcze golić.

– Dlaczego biegasz samotnie?

Jost oddał mu swoje zeznanie.

– Mam wtedy szansę porozmyślać. Dobrze jest побыć choć raz w ciągu dnia samemu. W koszarach na ogół nie jest to możliwe.

– Jak długo jesteś kadetem?

– Trzy miesiące.

– Jak ci się podoba w Akademii?

– Podoba?! – Chłopak spojrzał w stronę okna. – Wezwanie nadeszło, kiedy rozpocząłem studia na uniwersytecie w Getyndze. Powiedzmy, że nie był to najszcześniejszy dzień w moim życiu.

– Co studiowałeś?

– Literaturę.

– Niemiecką?

– A czy jest jakaś inna? – odparł, uśmiechając się niewyraźnie. – Mam nadzieję, że po odsłużeniu trzech lat puszcza mnie z powrotem na uniwersytet. Chcę być nauczycielem albo pisarzem, nie żołnierzem.

March przebiegł wzrokiem zeznanie.

– Jeśli jesteś takim pacyfistą, dlaczego w ogóle wstąpiłeś do SS? – zapytał, domyślając się odpowiedzi.

– Przez ojca. Był członkiem założycielem Leibstandarte Adolf Hitler. Wie pan, jak to jest; jestem jego jedynym synem. To było jego najgorętsze pragnienie.

– Musi ci być ciężko.

Jost wzruszył ramionami.

– Jakoś przeżyję. Dowiedziałem się poza tym, oczywiście nieoficjalnie, że nie będę musiał iść na front. W szkole oficerskiej w Bad Tolz potrzebują asystenta, który poprowadziłby kurs na temat zdegenerowanej literatury amerykańskiej. To dziedzina, na której znam się całkiem nieźle: degeneracja. – Chłopak zaryzykował kolejny uśmiech. – Być może zostanę na tym polu prawdziwym ekspertem.

March roześmiał się i ponownie rzucił okiem na zeznanie. Coś się tutaj nie zgadzało i teraz odkrył co.

– Na pewno zostaniesz – powiedział, odkładając na bok kartkę i wstając z krzesła. – Mam nadzieję, że poprowadzisz ten kurs.

– Mogę już iść?

– Oczywiście.

Jost podniósł się z wyrazem ulgi na twarzy. March położył dłoń na kłamce.

– Jeszcze tylko jeden drobiazg – powiedział. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy kadetowi. – Dlaczego mnie okłamujesz?

Jost odchylił głowę do tyłu.

– Co...?

– Powiedziałeś, że wyszedłeś z koszar o piątej trzydzieści. Zadzwoiłeś na policję pięć po szóstej. Schwanenwerder jest trzy kilometry od koszar. Jesteś wysportowany; biegasz codziennie. Nigdzie się nie włóczyłeś: padał ulewny deszcz. Jeśli nagle nie okulałeś, musiałeś zjawić się przy jeziorze grubo przed szóstą. Mamy więc jakieś dwadzieścia minut, z których nie zdałeś relacji. Dwadzieścia na trzydzieści pięć. Co wtedy robiłeś, Jost?

Chłopak sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Może wyszedłem z koszar później. Albo zrobiłem najpierw kilka okrążeń na boisku...

– Może, może... – March pokiwał ze smutkiem głową. – Wszystko to można sprawdzić i ostrzegam cię: znajdziesz się w poważnych tarapatach, jeśli to ja będę musiał odkryć prawdę i opowiedzieć ci ją, a nie odwrotnie. Jesteś homoseksualistą, tak?

– Herr Sturmbannführer! Na litość boską...

March położył mu ręce na ramionach.

– Nie obchodzi mnie to. Być może biegasz codziennie sam, żeby spędzić w Grunewaldzie dwadzieścia minut z jakimś facetem. To twoja sprawa. W moim kodeksie to nie jest zbrodnia. Mnie interesuje tylko topielec. Widziałeś coś? Co naprawdę robiłeś?

Jost pokręcił głową.